Lwów, 18. Kwietnia. № 46. Rok 1854.

NOWINY

Wychodzą we *Wtorek, Czwartek i Sobotę.* We Lwowie prenumerata roczna 6 Złr. — półroczna 3 Złr. — kwartalna 1 Złr. 30 kr. — miesięczna 30 kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie 8 Złr. — półrocznie 4 Złr.—kwartalnie 2 Złr. m. k.

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza za jednorazowe umieszczenie po 3 kr., za następne po 1½ kr. i za dopłatą 10 kr. stęplowego.
Bióro expedycyi w księgarni *H. W. Kallenbacha* przy placu dykasteryalnym pod l. 41.

ZNAJDA.

Powieść w jednym tomie.
(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ ÓSMY.

Tajemnica.

Smutna to była rozmowa brata z siostrą; smutna dla brata który żądał ciężkiej ofiary; okropna dla siostry, która miała być tą ofiarą. Ale się skończyła, co łatwo przewidzieć było, jak się skończyć musiała, jak się zwykle kończą wszystkie podobne dramata domowe, przegraną dla strony słabszej, niewinniejszej, wygraną dla strony możniejszej. I rzecz najsmutniejsza a prawdziwa przecie, że zawsze i wszędzie w podobnych dramatach rodzinnych ofiarą jest kobieta! Jest to już przeznaczenie kobiety podobną całe życie być ofiarą. Ofiarą uczuć własnych, które w jej usposobieniu tyle mają przewagi! Ofiarą stosunków konwencyonalnych, którym uledz musi! Ofiarą i uczuciem, i myślą i położeniem! Ofiarą dla kochanka! Ofiarą dla rodziny! Ofiarą dla męża! Ofiarą dla dzieci! Ofiarą zawsze! A nadgroda jestli jaka? Nadgroda jest w tem właśnie jej uczuciu, że jej własne szczęście zawsze i wszędzie służyć musi za podstawę szczęścia drugich!

Co się w sercu biednej dziewczyny działo, gdy słuchała brata, któż odgadnie, kto wyrachuje? Nawet nie było z jej strony właściwego oporu, prócz chyba tej bolesnej walki, której placem było jej własne serce. A słów oporu? zkądże je miała dobyć niedoświadczona głową, a czuła sercem ośmnastoletnia dziewczyna. I tu nawet co miała najżywszego w sobie, to jej najmocniej bolejące serce przemawiało w tej walce naprzeciw niej samej. Bo pan Kazimierz, po części w skutek szczerego i mimowolnego wzruszenia, z jakiem do tej rozmowy przystępował, po części, wiedziony najpojętniejszem ze wszystkich rozumowaniem własnego interesu, przemawiał do niej czulszemi niż zwykle słowami.

Cóż mogła odpowiedzieć bratu, który mówił do niej w imieniu swojego położenia, które nie taił przed nią, że gdyby mu przyszło w tej chwili oddać dług panu Stanisławowi, byłby zgubiony, że niby mu prawie nie zostało; że musiałby wszystko przedać, porzucić chyba ojczyznę i rodzinę, i pójść w świat, by uniknąć tego położenia, jakie w ojczyźnie zdybuje każdego, który straciwszy fortunę, schodzi z tego równego drugim, właściwego każdemu posiadłemu obywatelowi stanowiska. Bo naturalnie pan Kazimierz w rozmowie z siostrą bił głównie w to, aby współczuciem dla siebie namówić siostrę do związku z baronem, którego oczywiście w jak najlepszem wystawiał świetle, jako człowieka porządnego i majętnego. A uprzedzając inne zarzuty możliwe, zwrócił uwagę Helenki na śmieszność przesądów szlacheckich, niezgodnych z cywilizacyą wieku, w którym żyją. I chociaż wbrew własnego przekonania, mówił wymownie, bo z potrzeby; wspomniał nareszcie, że najlepszym dowodem dzisiejszego upadku podobnych rodowych przesądów, jest ten tytuł barona dany Łapeckim, podczas gdy Zakliccy żadnego nie mieli tytułu.

Biedna Helenka ani myślała podnosić tej kwestyi przesądów rodowych, których nie miała, i któremi gardziła; czuła tylko instynktowo, bo czyliż w takiej chwili mogła rozumować, że jej trudno przyjdzie kochać pana Stanisława Łapeckiego, choć barona. Kochać go? i zamarzyła biedaczka o uczuciu wielkiem, bezgranicznem, poetycznem, jakie nieraz w niewyraźnych kształtach, ale zawsze pełne jakiegoś niebiańskiego uroku przemknęło rozkosznie po jej dziewiczem łonie. Lecz cóż miała powiedzieć? Miałaż ona marzenia swoje kłaść na wagę z rzeczywistością?

Jedna pojawiła się jej myśl ratunku! i z zapałem ofiarowała bratu swój własny majątek.

— Wszak co moje to i twoje kochany Kaziu! przemówiła stanowczo i nieśmiało razem.

Lecz i tu rzeczywistość zimna stanęła jej w drodze. Bo pan Kazimierz dziękując czule za ten dowód jej przywiązania, wytłumaczył jej, że ona małoletnia jeszcze, że nimby zdołała bratu pomódz, on by musiał uledz konieczności bezwłocznego zapłacenia długu tak znakomitego i że nareszcie gdyby się to nawet mogło zrobić, czyliż on mógłby przyjąć od niej taką ofiarę, której sama mogłaby w czasie pożałować, i którą by mu świat cały zarzucał jako postępek haniebny, niegodny. A nakoniec w samym już końcu rozmowy, która jego samego nad wszelki wyraz męczyła, napomknął o jej stosunku przyjaznym do Znajdy.

Na to wspomnienie zarumieniła się biedna dziewczyna, nie wiedząc sama dla czego. Rumieniec ten jakkolwiek zupełnie niewinny, zirrytował pana Kazimierza. To też gwałtowniej niż sam chciał, dodał w końcu.

— Trzeba nareszcie przeciąć od razu drogę obmowie,

bo ludzie zwykli sądzić powierzchownie i skłonniejsi do złego raczej niż do dobrego. powiadają, że ty kochasz Znajdę.

— Kocham! — zawołała zdziwiona i wzruszona na prawdę Helena.

To słowa kocham, tak ważne w życiu każdej dziewczyny, pierwszy raz prawie stanęło jej w drodze tak jasno i wyraźnie, bo połączone z pewnem wypowiedzianem już nazwiskiem. Cały świat nowych myśli i nowych uczuć, dotknięty nierozważnem brata słowem, rozsypał się jej po głowie i sercu. Był to jeszcze chaos zaprawdę, ale to jednakże jasno zrozumiała i dobitnie uczuła w tej chwili, że pana Stanisława nie kocha i nigdy kochać nie będzie. Uczuła nawet po raz pierwszy w życiu, że zdolna nawet znienawidzić go.

— Zrobię co zechcesz, i jak zechcesz! — przemówiła szybko, jakby się chciała pozbyć tej rozmowy. A może w rzeczy samej chciała jak najprędzej zostać sama z sobą, by ten natłok myśli i uczuć uporządkować, i zrozumieć siebie samą. Długo wstrzymywane łzy polały się po bladych jej licach. Zapłakana podała rękę bratu i wyszła do siebie.

Gdy przechodziła przez sień, przypadek, ten twórca wydarzeń najwięcej skomplikowanych, napędził jej w drogę Znajdę. Zadrżał biedny młodzieniec na widok jej łez i bladości. Ona zmieszana jeszcze więcej, zatrzymała się przez chwilę.

— Panna Helena płacze! — ozwał się nieśmiało.

— Nie! nie! — zaczęła przykładając rękę do oczów, ale głośne łkania przerwały jej mowę i zdradziły.

— Na miłość boga! — krzyknął Znajda przyskakując bliżej. Co to pannie Helenie! jakie nowe nieszczęście! I pobladł biedny sierota jak ściana.

— Nic to! nic! — odrzekła po chwili, i chciała odejść.

— Panna Helena gniewa się na biednego Znajdę, kiedy nie chce mu powierzyć...

— Nie gniewam się, ale jestem wzruszona! dziecko jestem — mówiła z uśmiechem, w którym było pierwsze najprzykrzejsze szyderstwo bolu wewnętrznego. Idę za mąż za pana barona Łapeckiego — dodała, i nowe łzy zalały jej twarz.

— Przeciw własnej woli! — zawołał Znajda z wyrazem, w którym się objawiła po raz pierwszy może silna energia, służebniczem położeniem skrępowana.

— A któżby mnie przymusił! — powiedziała szybko, chcąc dalszej uniknąć rozmowy.

— A więc z własnej woli! — zawołał Znajda, a w głosie jego odbiło się po raz pierwszy może, uczucie silne, służebniczem położeniem przyduszone.

— Nie! nie! gdzież tam — zawołała jeszcze prędzej, bez rozwagi, i znowu chciała się oddalić. Tym razem Znajda ustąpił na bok, kłaniając się niżej niż zwykle, i spuścił oczy w dół.

— Dla czegóż tobie, mój biedny Znajdo, mój poczciwy towarzyszu od lat tylu nie miałabym prawdy powiedzieć — przemówiła Helena, zrozumiawszy sercem to jego przykre w tej chwili uczucie. Mój brat narobił wiele długów w czasie swej podróży, pan Łapecki nabył je, i...

— Panna Helena ma za brata płacić, idąc za jego dłużnika?

— I to — i zaczęła, i urwała, zarumieniona.

— Ale go panna Helena nie kocha?

— Ach nie! nie! — ja byłabym najszczęśliwsza, gdybym mogła wyjechać ztąd do mojej wujenki w Przemyskie, ale muszę, muszę; przyrzekłam.

— Nie! niebędzie nic z tego! zawołał Znajda, po krótkim namyśle z wyrazem dziwnie stanowczym. Póki żyje biedna sierota, waszą łaską wychowana, póty panna Helena nie będzie nieszczęśliwa. Panna Helena nie będzie żoną pana Stanisława, nie!... nigdy!

Helenka spojrzała na niego z niepospolitem zadziwieniem, i ledwie że nie z przestrachem, bo mówiącego z taką pewnością, z takim zapałem jeszcze nigdy nie słyszała. Lecz zanim zdołała zebrać myśli swoje i przemówić do niego na nowo;

— Niech panna Helena będzie zupełnie spokojna! wyrzekł szybko i wyszedł. Chciał wejść do pokoju pana Kazimierza, lecz się zatrzymał, pomyślał chwilę i wybiegł daleko za dwór, za wieś, i długo biegał samotny i zamyślony, jakby układał plan przyobiecanego ratunku.

Biedny Znajda, uniesiony poczciwą chęcią, niewiedział że sam ratunku potrzebować będzie. Pan Kazimierz chcąc się pozbyć jak najprędzej tej całej nieprzyjemnej dla siebie rzeczy, przed której wykonaniem wzdrygało się w nim wszelkie uczucie szlachetniejsze, zaraz po rozmowie z siostrą posłał po naszego Pikułę, i dał mu dyspozycyą aby tej chwili zatrzymać Znajdę, i odesłać do Zalesiniec, gdzie właśnie bawiła wówczas komisya rekrutacyjna. Łatwo pojąć, z jaką radością usłyszał Pikuła to zlecenie. Jego dusza, niezdolna uczuć szlachetniejszych, uradowała się upadkiem człowieka, którego cierpieć nie mógł za to, że poczciwszy, w którym nienawidził najprawdopodobniejszego zastępcę swego. Nie bez dodatku goryczy była ta jego radość; sposób bowiem, w jaki przemawiał do niego pan Kazimierz był tak zimny, nieprzyjazny i pogardliwy, że mu przez skórę przebiegł dreszcz strachu czy złowrogiego przeczucia. Wszakże na odchodnem napomknął coś pan Kazimierz o rachunkach, które chciałby temi dniami przejrzyć, co panu Pikule choć nie do ust, ale do myśli tysiące piorunów siarczystych przywiodło. Bo rachunki dla ekonomów są zawsze drażliwą materyją; mimo największej poczciwości, jaką kiedykolwiek zdybać można było w niknącym już u nas dziś rodzie ekonomskim, bywa-

ły zawsze tajemnice rachunkowe które zakryć przed dziedzicem należało do konieczności powołania i sprytu ekonomskiego. Chcąc sprawę swoją naprawić, ruszył konceptem pan Pikuła, w którym całą złożył nadzieję swoją.

— Moja córka, wyrzekł z giestem i głosem wpół tajemniczym; chciałaby złożyć jaśnie panu uszanowanie swoje.

Pan Kazimierz spojrzał na niego z całą zimną obojętnością pana, patrzącego na sługę.

— Kiedy jaśnie pan rozkaże, żeby Anielcia...

— Pani Szuplińska, Szypalska, czy jak się tam zowie; jeżeli ma jaką potrzebę, niech się uda do pana, któremu teraz służy; odpowiedział pan Kazimierz z lekkiem szyderstwem, i zwrócił się na pięcie.

Pikuła, wypiorunowawszy się sowicie za drzwiami, w najgorszym humorze zbiegł na dół, i wszedłszy do siebie, postanowił oczywiście cały swój zły humor spuścić na Znajdę. Zastał w domu całą radę przyboczną, bo prócz żony czekali na niego i Szypelscy i Reb Srul. Wielka była radość z przyniesionej wiadomości, ale i wielkie nastało zmartwienie, gdy im wspomniał o rachunkach i zimnej odpowiedzi jasnego pana na zapowiedziane odwiedziny pani Szypelskiej.

Pani Petronella wzięła kieliszek wódki, wychodząc z tego jak świat i ekonomy starego prawidła, że: na frasunek dobry trunek.

— O wa!... zawołała pani Aniela pstrzykając palcami pogardliwie; nie bardzo ja się spieszę do niego.

Szypelski choć głupi najrozumniejsze wyrzekł słowo, bo filozoficzne nawet, co zdaje się dowodzić że nie trzeba wielkiego rozumu by być niezłym wcale filozofem.

— Póty dzban wodę nosi! zaczął, ale nie skończył, bo małżonka przerwała mu filozoficzną teoryę nadzwyczaj praktycznym giestem.

Jeden Reb Srul nic nie powiedział, zatarł tylko ręce z wewnętrznem zadowoleniem. I pomyślał zapewne: wypędzą i jednych i drugich; a mnie co to szkodzi! Ekonomów mogą diabli wziąć, ale arendarz zostanie; na ich miejsce mam ja już drugich gotowych; nowe sitko na kółko dodał sobie na pociechę; i skłoniwszy się wszystkim poszedł do karczmy swojej, by zabrać książki dworskie, któremi dawno już zapłacił ratę przyszłego dopiero kwartału.

W godzinę potem pan Pikuła siedział przy stole między stosem rejestrów, z których czerpał rachunki, a sporą flaszą wódki, z której czerpał matematyczne natchnienia. Biedny Znajda zaś był już kandydatem na żołnierza. Sposobem zwykle używanym dawniej, okuty w dyby czy kajdanki, siedział w zimnym areszcie dominikalnym, który wraz z mandataryą znajdywał się w Zalesińcach.

Wieść o losie Znajdy, jak każda wieść smutna, rozeszła się lotem ptaka po całej wsi. Na pochwałę wieśniaków chałupinieckich przyznać potrzeba, że wieść ta smutne w ogóle zrobiła wrażenie, chociaż nie jednemu na myśl przyjść mogło, że Znajdy nieszczęście ochroni choć jednego parobka od podobnego losu. Znajda, chociaż się nikt we wsi nie mógł przyzwyczaić do jego pochodzenia, rzucającego nań plamę, był powszechnie ceniony i lubiony nawet. Wieśniacy mają w tej mierze wielkie pojęcie słuszności, i zwykle wyższego nad siebie położeniem, umieją ocenić po jego istotnej wartości. To też w każdej niemal chałupie rozmawiano o nim z żalem, a z wyrzutem o młodym dziedzicu; tu i owdzie poczciwe zawsze i miłosierne czy w wyższym czy w niższym stanie kobiety zaczęły się zbierać, by zanieść więźniowi, to chleba, to sera kawał, to flaszkę wódki, tego po wsiach naszych uniwersalnego panaceum na cierpienia czy moralne czy fizyczne. Sieroctwo Znajdy, które w czasach jego powodzenia było powodem niejakiej pogardy, stało się teraz źródłem powszechnego współczucia.

— On niema nikogo swego! mówiły baby i mołodyce, i mimo jesiennego błota, błota prawdziwie podolskiego, pociągnęły do Zalesiniec, z rozmaitemi datkami.

Najsmutniejsze wrażenie zrobiła ta wieść w chacie Oleksy gajowego. Przestraszyła się biedna Marynka; załamała ręce, i rzewnie zapłakała; wszakże biedna dziewka, dawniej tak pusta i wesoła, znała się już od dawna ze łzami. Lecz nie długo oddawała się próżnej i bezużytecznej rozpaczy. Wieśniacy nasi nie mają do niej czasu, i są w tym względzie praktyczniejsi, od nas czulszych i wykształceńszych, tracących często na łzach, spazmach i rozpaczy czas, którybyśmy mogli lepiej obrócić na ratunek lub pomoc przynajmniej. Marynka wnet otarła z łez czerwone oczy i schudłą twarz, i nie rzekłszy słowa, porwała za swój kożuszek i ogromne buty.

— A weź co tam dla niego! zagadł Oleksa, niepytając nawet córki, gdzię wychodzi mimo błota i zapadającego już zmroku. Dla poczciwego wieśniaka było to rzecz zupełnie naturalną.

Pożno już było, gdy się Marynka zbliżyła do aresztu. Był to niewielki lepiony budynek, podobny nieco do chlewu, a gorszy zapewnie od porządnej psiarni; niemówię już o stajniach, przed których przepychem najpiękniejsze nieraz pałace wstydzić się muszą.

Taki areszt, a kto bywał u nas po wsiach przed laty jeszcze kilkoma, przyzna że mało było lepszych, wymagał zaiste kajdanek; bo mnogie w nim dziury, okna drewnianemi patykami zakratowane, drzwi na zardzewiałych zawiasach tańcujące, dach nareszcie przeźroczysty i tylko cudem równowagi trzymający się na wierzchu, nie dawały zaiste wielkiej rękojmi bespieczeństwa.

Przed aresztem w Zalesińcach stała straż złożona z je-

dnego wartownika, który dzięki odwiedzinom bab i mołodyc należycie był ujęty, co dowodziły jego niekoniecznie pewne kroki i śpiew zachrypnięty. Wartownik ten tem był wszakże potrzebniejszy, że we drzwiach aresztu od czasu pamięci ludzkiej nie było zamku. Używano wprawdzie w razie potrzeby kłódki, i tym razem wisiała kłódka olbrzymiej wielkości, lecz dla proporcyi tylko. Mimo bowiem najusilniejszych poszukiwań, klucz od kłódki, rozstąp się ziemio, gdzieś zaginął. Zaczepiono zatem kłódkę i sznurkiem związano dla oka. A człowiek był właśnie z Chałupiniec, i należał do największych wielbicieli rodziny Dziubów, a chociażby był i obcym, pewnieby nie odmówił wejścia Marynce. Rzadki to przypadek, ażeby wartownik aresztu wiejskiego, odmówił w takim razie wszelkiej pomocy jaka jest w jego możności. Dneś tobi, zautra mini, jest u nich w tej mierze bardzo praktycznem prawidłem, do którego snadniejszego pojęcia, pomaga zapewne i wódeczka przez odwiedzających przynoszona. Ani więc chwili nie wahał się nasz wartownik, łyknął dla ochoty z podanej sobie flaszki, sznurek rozwiązał, wpuścił Marynkę do środka, zawiązał nazad, i z najlepszą miną zaczął się na nowo przechadzać, nucąc jakąś tęskną, żałosną śpiewkę podolską.

Znajda leżał w kącie na wiązce słomy, którą także jakaś wiejska samarytanka przyniosła. Nie był on smutny ale zamyślony; przeciwnie na twarzy jego był spokój, a z oczów łyskał promień myśli wewnętrznej, bujającej gdzieś daleko i wysoko, po tem niezmierzonem przestworzu marzeń i nadziei, które zwykle tem bywa obszerniejsze i barwniejsze, im ciemniejsza i brudniejsza izdebka więzienia. Bo człowiek nie stworzony by żył w rozpaczy: opatrzność wlała mu w piersi siłę czarodziejską, za której pomocą z najprzykrzejszej wymyka się teraźniejszości, na skrzydłach modlitwy i nadziei. Znajda nie rospaczał, bo czuł w sobie energią młodości; i jeszcze jedną miał myśl pocieszającą. Mimo aresztu, mimo kajdan, miał w sobie pewność, że przyrzeczenia danego Helence dotrzyma, i że na ostatnie pożegnanie zostawi jej wolność. A sam!... o wielki Boże!..... czyż świat nie dosyć szeroki, by na nim nie mógł pomieścić się i przepchać jeden sierota więcej? Sierota u ludzi, czyliż jest sierota u Boga?..

— Mój ty biedny!... zawołała Marynka, i po raz pierwszy pierwszego w życiu uściskała mężczyznę. Gorzko płakała w jego objęciu, bo gorzko jej było w sercu.

— Cóż ty poczniesz!... co ja poczmę nieszczęśliwa!... zawodziła dalej. (D. c. n.)

Goniec.

W czwał koniu po błoniu, przez drogi, bez trwogi
A dalej i dalej, za oczy, przez świat!...
Niezmienne, promienne na niebie lśnią drogi;
Przez góry, przez wody, do raju rozłogi...
Bóg z nami, w nas wola, i płomień, duch lat!

Przed piersi wulkanem uniżą się góry,
Jak dziecię się złoży spienionych wód wał;
W czwał koniu mój wrony! co wiatry, co chmury...
Jak wiatry i chmury przez niebios lazury,
Tak lećmy, by stracić raz z oczu ten kał.

Koń jeźdźca rozumie, i niesie, i niesie,
A wierny towarzysz gonitwy, wiatr gra,
O lećmy, o lećmy, bez myśli o kresie,
Przy zdroju ze znoju odetchniem gdzie w lesie,
Spragnieni dwa zdroje wypijem do dna.

Tam w lesie bez ludzi rozmówię się z echem;
Mam coś mu powierzyć, i przesłać coś mam...
Czyż wracać się do nich nie byłoby grzechem?
Szydercy!.. na drogę żegnali nas śmiechem...
O, nigdy... o, nigdy... nie wrócę ja tam!

A ona?... ach, ona... na kwiatach wyśniona,
O, widzę go, widzę.., pod borem ten dwór;
Trzy wzgórki przed dworem, a w dworze tam ona
Jak róża, promieniem wiosennym olśniona,
Jak niebo, gdy słońce wyziera zza gór.

Gdy pamięć jak łabędź wypłynie z wód toni,
I skrzydłem łabędziem zakłóci dno fal?...
Co wieńce przeszłości!... co zbiegły raj z dłoni!
Na boleść wspomnienia, lekarstwo w pogoni,
W czwał koniu!... lecz ona czem stłumi swój żal?

W czwał koniu mój wrony... co serce!.. co czucie!
Precz z sercem i czuciem... ruszajmy na step;
O, czucie,.. o, czucie.. pająka to snucie...
Na stepie tam serce w orkanu jest nucie,
Na stepie jak w sklepie, bez ludzi ten sklep!

Tam orzeł bez trwogi, koń nie zna wędzidła,
A cicho, szeroko, a trawy po pas;
I dusza jak orzeł rozwinie tam skrzydła,
Rospryśnie jak tęcza w stepowe umidła...
W czwał koniu! step, orzeł czekają tam nas!.

J. Z.

Najnowsze dzieła.

Wieczornice

przez Lucyjana Siemieńskiego tom 2. i 3.

(Dokończenie.)

Zapis na duszę, powieść niby fantastyczna, ale po prawdzie bez wielkiego wydatku fantazyi. Pan Henryk

ma przyjaciela Fortunata, za którego jako więcej pismienny pisuje listy miłosne. Bywając w teatrze widzi ładną dziewczynę Olesię, w której się zakochał i jak mu się zdaje po jej spojrzeniach postrzegać, nie bez wzajemności. Raz późno wieczorem czy nawet w nocy, siedząc samotny śród mnóstwa ksiąg starych kabalistycznych, ni ztąd ni z owąd zaczyna przywoływać djabła. Djabeł się nie pokazuje, lecz natomiast ktoś puka, i z niemałem zadziwieniem pana Henryka wchodzi Olesia. Lecz niestety! nie dla niego ona wchodzi. Odurzona miłosnemi listami Fortunata dała mu się wykraść. Fortunat wyprawił ją tymczasem do przyjaciela, a przed rankiem ma przybyć z powozem i końmi pocztowemi. Pan Henryk ślicznie się znajduje; mając bowiem stosunki z ciotką Olesi, idzie do niej i na prostej drodze, bez romantycznych wyskoków kojarzy to małżeństwo. Jest jeszcze w tym zbiorze powieść niepodobna do prawdy, której podstawą całą jest wynalezienie kamienia filozoficznego, za pomocą którego pan Mroczek przerabia węgle na diamenty i złoto, a za pomocą złota i diamentów kupuje wszystko, bo wszystko jest na sprzedaż. Powiastka ta ma także pozór nader zagraniczny. Jest jeszcze Djabeł w Krakowie; ma to być stara gawęda. Powieść o pięknej kasztelanowej i o rycerzu węgierskim. Dalej: Róża z Mogiły, legenda z wieku XV; tej powiastki zagraniczne pochodzenie już dawniej wytknięto; i panna respektowa. Są to wszystko drobniutkie obrazki, o których nic się nie da powiedzieć. Są jeszcze mniejsze artykuliki, o wielu rzeczach i niektórych innych. Królewicz Arakański: urywek z moich wspomnień. Jest to rzeczywiste zdarzenie. Przed laty prawie czterdziestą pojawił się był w Galicyi i Lwowie mniemany królewicz Arakański, który w rzeczy samej narobił wiele u nas hałasu, natumanił ludzi niemało, nabrał mnóstwo pieniędzy, od mnóstwa ludzi, dając im za to rewersa na góry pereł i diamentów, mających się znajdować w jego ojczyźnie, lub nagradzając rozdawaniem urzędów admirała, naczelnego wodza i t. d. i orderów rozmaitych: wielkiego słonia, wielkiego osła i t. d. Jakoż żyją do dzisiaj znakomici zewszechmiar obywatele, którzy zapewne przypomną sobie ze szczerym śmiechem ową epokę mystifikacyi. Znacznie później pokazało się oczywiście, że książę Arakański był samozwańcem. Jego u nas pojawienie schwycił tu autor, lecz przedmiot, wymagający szerszego obrobienia, skrócił, i niektóre szczegóły najważniejsze i najciekawsze, czy umyślnie opuścił, czy może sam ich nie znał. O architekturze chrześciańskiej jest to próba artykułu, wymagającego i szerszych rozmiarów, i głębszego rozbioru. Jest to prawdziwy utworek francuski. Zdaje się to coś, a w rzeczy samej jest nic. Toż samo powiedzieć można o Typach i charakterach w literaturze. Ujęcie przedmiotu zdrowe, wyrobienie chorobliwe i karłowate. Do drobniejszych artykułów należy jeszcze Wizyta u romantyka; o której przez wzgląd na dawniejsze autora zasługi, jak o ryczywole zamilczeć wolę, bo i przedmiot lichy i nie tęgie wyrobienie. Najlepszym z tych drobniejszych artykułów jest: Powiernik. Jest to jeden z mniej obrobionych typów, a niezawodnie prawdziwy. Jak na deskach teatralnych tak i w życiu codziennem są ludzie którzy wiecznie jedną tylko odgrywają rolę powierników. Takim jest pan Gustaw, który przez takie zwierzania się w rozmaite wpada kolizye, a na końcu i na dobitek, gdy się ożenił, staje się powiernikiem jakiegoś bezwąsego dandysa, umizgającego się do jego żony. Są nareszcie dwa w tym zbiorze najlepsze artykuły, znane już dawniej. «Olesk i Białykamień,» a mianowicie «Rysy górali tatrzańskich.» W pierwszym są wspomnienia historyczne zawsze ciekawe, o miejscu urodzenia króla Jana i o żonie księcia Radziwiłła panie kochanku, która mieszkała w Białym kamieniu, i zrobiła go pamiętnym tragicznem i zbrodniczem zdarzeniem. Żyjąc w niebytności męża bawiącego w Preszowie dosyć rozwiązle, nierada była, by kto w tajemnice domowe za nadto blisko zaglądał. Jakoż rozgniewana śmiałością Czeszejki, przysłanego do niej przez męża, kazała go uwięzić i w piwnicy zamku Białokamienieckiego ściąć mu głowę. »Rysy górali tatrzańskich;» jest to interesujący i ciekawy zbiór rozmaitych przesądów i bajek jakich pełno jest pomiędzy góralami: są dobrze oddane rysy niektórych rozbójników, któremi górale szczycą się jak bohatyrami, mianowicie sławnego Janoszczyka; są nakoniec niektóre pieśni góralskie. Jest to zbiór niezawodnie szacowny i pożyteczny, o którym przynajmniej recenzent może z pewnością powiedzieć, że jest swój własny, ale nie naśladowany lub żywcem z obcej literatury wyjęty.

Tatarzy krymscy.

(Ciąg dalszy). — Wielkość chanatu nie da się ściśle określić; granice bowiem pomiędzy Rossyą i Krymem, ginęły i zacierały się w szerokich stepach. Panowanie chanów w krajach kaukazkich było nominalne, którego Czerkiesi często imienia nawet uznawać nie chcieli. Przecież państwo chańskie bez wątpienia było większem od pruskiej monarchii, ale bardzo biednie zaludnione; przecież nie musiało być zupełnie pustem, kiedy, w wielkiej potrzebie, wystawiało ono czasami do dwukroćstutysięcy jazdy.

Dziwnie małemi były stałe dochody krymskiego chana; prawda, że nie opłacał on niższych, a za każdą wojną odbierał wielki udział w zdobytych łupach. Peyssanet, który nam podał traktat zawarty pomiędzy sułtanem i chanem krymskim, daje nam także bardzo ciekawy, officyalny stan finansów z ostatnich czasów.

1-ód) Turecka komora i solne zakłady przy Gozlewe przynosiły piastrów	50,000
2-re) Komora i solne zakłady Workapi i mennica . .	30,090
3-cie) Attaman w Dubossarach płacił haraczu. . . .	8,000
4-te) Naczelnik Jali, rodzaj odkupu z podatków . . .	15,000
5-te) Naczelnik w Kauchanie	4,000
6-te) Haraczu od hospodara wołoskiego i multańskiego	12,000

7 me) Komora w Kaffie. 2,000
8-me) Wypłacano corocznie pensyi w Turcyi 6,000

razem piastrów 127,000

Podług ówczesnej wartości monety było to 400,000 liwrów albo 100,000 talarów.

Trudno jest pojąć, jakim sposobem chan mógł z tego utrzymać dwór, swoich urzędników, straż przyboczną i t. d. Ale oprócz tego do kassy chańskiej wpływały inne jeszcze dochody, których charakter jest zupełnie wschodni. Na chana, prawem kaduka, spadały majętności tej szlachty, która schodziła ze świata bezpotomnie do siódmego pokolenia. Wszyscy panowie tureckiego państwa musieli corocznie płacić chanowi znaczne sumy, w sposobie podarunków; osobliwie hospodarowie Multan i Wołoszczyzny, bo jedno tylko słowo, jedna prośba chańska u sułtana, mogła pozbawić ich godności. Ale nie tylko oni, nawet obce mocarstwa, jako to Rossya, Polska, nawet Francya i Anglia, wypłacały chanowi, corocznie znaczne summy.

Jednakże trzeba pamiętać na to, że chanowie krymscy tak straszni na zachodzie, ze swojej strony ulegali najazdom Nogajców, którzy potem uważali się za ich poddanych, i nieraz łupy zebrane w Europie, szły na okupienie pokoju ze strony Azyi.

W dyplomatycznych notach, wysyłanych do obcych mocarstw, chan krymski przybierał następujący tytuł: my z Bożej łaski N. Girej, cesarz tatarski, czerkieski i dagestański. Wszyscy książęta jego domu nosili tytuł s u ł t a n a. Nie zamykano ich w seraju jak synów domu osmańskiego; żyli oni wolno; brali od chana utrzymanie, a oprócz tego od Porty pensyą. Chan pod żadnym pozorem nie mógł ich karać śmiercią. Umieli oni różnemi sposobami, osobliwie od tureckich paszów, wyduszać pieniądze; ztąd urosło tatarskie przysłowie: b ó j s i ę s u ł t a n a j u ż o d t e g o c z a s u, j a k w y r o ś n i e t a k w i e l k i j a k r ę k o j e ś ć t w o j e j n a h a j k i.

Wiele było pobocznych linij panującego domu: naprzód pokolenia Hadiego Selima Gereja, które nasamprzód miało prawo do tronu; dopiero gdyby to pokolenie wymarło, wówczas tylko przystąpionoby do wyboru chana z innej linii panującego domu. Wszyscy prawie synowie chańscy i inni książęta krwi, dziećmi wysyłali się do Czerkiesów, i tam wychowali się u jakiegoś pana, który miał sobie za honor i osobliwsze szczęście być piastunem młodości chańskiego dziecka. Tam w górach uczyli się młodzi chanowicze sztuki wojennej, zaprawiając się w wiecznych wojnach Czerkiesów do użycia broni. Był to bitny, dumny i wspaniały ród! Nie starali się oni o zgromadzenie chowanie skarbów. Wszystko rozdarowali, co tylko mieli. Sułtan zwyczajnie miał tylko jeden ubiór; skoro tylko sprawiał sobie drugi; pierwszy natychmiast został darowanym. Kiedy kto robił im uwagę, że można byłoby zachować coś na jakąś nieprzewidzianą potrzebę, oni zwyczajnie odpowiadali jedno: byłże kiedy przykład w dziejach, żeby książę jaki, z domu Gerejów, umarł z głodu?

Córki chańskie oddawały się za mąż zwyczajnie znakomitszym, najmężniejszym, ale razem najuboższym ze szlachty, którzy wówczas przychodzili do majątku przez oprawę, jaką im do domu wnosiła żona. Do tej oprawy należało tak nazwane D o k u s - D o k u s l e m e, albo dziewięć razy dziewięć, t. j. 9+9 futer; 9+9 sukni; 9+9 materaców z z różnemi złotemi, srebnemi i jedwabnemi powłokami; 9+9 bogatych kołder 9+9 prześcieradeł. Chanowie krymscy nigdy nie mieli prawnych żon, tylko czerkieskie i georgijskie niewolnice, które nie miały żadnego wpływu i uważały się mniej nawet od dzieci.

Organizacya kraju tego tatarskiego państwa spoczywała na zasadach feudalizmu, takiego prawie samego, jaki był znany ludom germano-romańskim. Nic tu nie było podobnego do tego, co widzimy w innych wschodnich, tak nazwanych despocyach. Jest to osobliwsze, dotąd niewyjaśnione, historyczne zjawisko. Tatarowie byli jednego z Turkami pokolenia, jednej z nimi religii, od niepamiętnych czasów związani w społeczność, a przecież we względzie towarzyskim i administracyjnym byli z nimi w zupełnej sprzeczności. Przeciwnie pomiędzy Tatarami, a dalekiemi germańsko-romańskiemi ludami, nigdy nie było najmniejszej styczności, a przecież takie oto zachodziło podobieństwo w ich towarzyskich ustawach. Zkądże to pochodzi? Zdaje się jak gdyby te różne plemiona z jednych pierwotnych źródeł czerpały zasady swego społecznego życia.

(Dokończenie nastąpi).

Rozmaitość.

Z Krakowa. L i t e r a t u r a i l i t e r a c i. (List pierwszy).

* A co się też tam w świecie literackim dzieje? pytał mnie pewien znajomy ze Lwowa podczas krótkiego tu pobytu. Żeby na to zapytanie odpowiedzieć, obiecałem mu dać treściwy opis w miejscowem piśmie i dziś tego przyrzeczenia dotrzymuję.

Kiedy jeszcze byt materyalny miasta Krakowa zasilał i ze zbytkiem nawet literackie żołądki, i głowy pracowały z ochotą i fantazyą; nie zbywało tu na wymysłach, konceptach ani materyałach do wszelkiego rodzaju utworów człowieczej wyobraźni. Literat niezawodnie w swoim zawodzie chleba nie patrzał, bo go miał poddostatkiem z swoich familijnych lub fachowych funduszów. Jednakowoż każdy świstek, każdy arkusz, byle tylko oryginalnie pisany, popłacał tysiąckrotnie złotem i zadowolnieniem własnej miłości. W dawnych też czasach nasz Kraków szczycił się ludźmi sławy Europejskiej, a najmniej miastowej. Lecz śpiewać darmo boli gardło, mówi dawne przysłowie i to bardzo słusznie; bo czyż będzie się komu chciało fantazyować, kiedy te wszystkie chęci literata przytłumia nie zwyciężona dzisiaj u nas plaga, a tą plagą jest.. co? może odgadniecie? oto pusta kieszeń, a z nią razem i pusty żołądek! Bo proszęż robić co, kiedy ta robota ani odrobiny niepopłaca, kiedy nagroda pracy ledwie może wystarczyć na zaspokojenie potrzeb: atramentu, piór i papieru! Niejeden z młodych ludzi chętnie w wolnych chwilach bierze pióro do ręki i próbując mocy fantazyi, przecie, przecie nagryzmoli co do książki podobnego; dobrze... to jest pierwsza próba. Jeżeli do tej pracy szczerej chęci nabierze, rozwiną się natychmiast w całej sile zasoby jego zdolności i w tej to chwili odrzucaniem płodów jego umysłu niepowinno się go odstraszać!

A tu, u nas; przyjdziesz do nakładcy z manuskryptem, choćby tylko na żart, wyłuszczysz cel swych odwiedzin, obo! już bądź zdrów, tysiączne zawady stoją ci na przeszkodzie, a manuskrypt jest kandydatem do pieca.

Przyznaję, że trudno spekulantowi wyrzucać pieniądze w tych czasach na utwór fantazyi, któryby nie znalazł w świecie literackim zwolenników, dla tego też ja tu wcale nakładców nie obwiniam, tylko czasy, te czasy! Moje wspomnienie stanu tej gałęzi przemysłu w Krakowie służyć tylko powinno wszystkim za najważniejszą wymówkę ubogiej nowszych czasów literatury w naszem mieście.

Szanowne towarzystwo naukowe wspierało czas jakiś w naukowym przedmiocie wydawane dzieła i temi poszczycić się możemy; lecz ponieważ to towarzystwo czynnie działało, nie mogło działać długo i jego czynności mocą wyższą zatrzymane, przestały swój wpływ wywierać. Teraz mamy kilku zasłużonych jeszcze literatów, a ci znani są pewnie całej publiczności z swych płodów, dlatego ich nie będę wymieniał. Boli mię tylko bardzo, że w ogólności tacy, którzy mają sposobność najkorzystniej wydawania swych utworów na widok publiczności, syci zyskanej sławy, zaniedbują tej pracy i rozpuszczając wodze żądzom namiętności, bez żalu poniewierają godnością człowieka, zamieniając zatrudnienia szlachetne na gastronomiczne i gry hazardowne. A takie właśnie jest położenie jednego u nas i najwięcej ulubionego literata! Ale dosyć żalów, przejdźmy do

podstawy mojego twierdzenia! Chociaż kto z nowicyuszów odda się z zapałem literaturze jakże ten zapał ostygnąć musi, gdy zaraz w samym początku przez smutną rzeczywistość położenia dzisiejszego zostanie zrażony.

Przedsiębiorca, obejrzawszy utwór choćby znakomity, zrobiwszy krzywą minę, najczęściej odpowie: „Żebyś to kochany panie napisał coś takiego, coby można prędko rozsprzedać! tak naprzykład: książkę do nabożeństwa, jakie rozprawy religijne, pieśni nabożne, albo coś podobnego a, a, a!... tobym prędzej odważył się drukować, ale takie historye to u nas nie popłacają!" albo, żeby to pan napisał jaką historyą polską lub coś, coś — no... coś takiego, coby to, jednem słowem, odchodziło, to co innego, ale tak, to darmo, nie zrobię panu żadnych nadziei. I basta! Prawda, że na wychodnem pięknie ściśnie za rękę i miło się ukłoni, tytułując „panie dobrodzieju!" ale cóż po tytule kiedy nic w szkatule! Autor idzie grzecznie z kwitkiem, na później krępuje fantazyą pisząc *coś takiego, co by to odchodziło* i jakiż skutek jego pracy? Ten sam a nie inny, a jeżeli cokolwiek lepszy, to *raritas, raritatum!* Przyniesiesz *obstalowany manuskrypt* do przedsiębiorcy, pokręci na niego nosem, obejrzy go na wszystkie strony, przypatrzy się kaligrafii, oprawie, etc. i poprosi nareszcie o jakiś czas do przeglądu. Wtedy możesz przychodzić sobie długo do niego z zapytaniem o rezultat! Nareszcie ofiaruje ci za niego dziesiątą część realnej wartości, i to jeszcze z tysiącznemi warunkami, jako to trzymania korekty, napisania szumnej przedmowy, a po wydaniu recenzyi, faktorowania publiczności o jego dobroci, i t. d.

Niedziw więc, że literatura w Krakowie na takim stopniu dziś się znajduje.

Najmilsze i najszacowniejsze utwory wynoszą się za granicę i podsuwają pod obcego miasta chorągiew.

Partya literacka wyższa siedzi z założonemi rękoma, ledwo może raz w rok wyrzucając jakiś utworek na pastwę światu zgłodniałemu! A niższa? O, ta ma inne zatrudnienia!

Literatów partaczy jest u nas bardzo wielu; jednem słowem: „Litania cała!" Ci kontentują się wyśmiewaniem zdolności już ustalonych i szarpią sławę, jakiej dosięgnąć nigdy nie potrafią! Pisma krajowe i zagraniczne pełne są ich gryzmołów i kłótni tak, iż myślanoby o niewiedzieć jakich zdolnościach ich twórców, gdyby publiczność czytająca miała zawiązane oczy i uszy!

Niezawodnie kłótnie literackie a nawet osobiste naszego miasta, w własnych i innych znajdujące się gazetach, dziwią każdego kto je czyta i niebardzo korzystne o wszystkiem dają wyobrażenie; lecz nie dziw temu: tutaj niema żadnej przyjaźni i ogólnego zjednoczenia! Przyjaciel w oczy, nawet niejako wcielony członek jednej i tej samej koteryi, tak ją, jak i jej członków czerni publicznie, za co znowu od swego najszczerszego przyjaciela, współbrata literackiego, bywa z błotem zmięszany i wyśmiany w pismach. O! opłakany to jest stan takowej niezgody w świecie literackim! Zamiast szukać błędu w czynach współubiegacza, lepiej jest starać się takowego w swoich tworach unikać, a z postępków życia dla siebie wybierać dobre wzory! Każdy niech patrzy samego siebie!

Taki jest dzisiejszy ogólny stan literatury wspomnionego miasta, który podaję pod surową i sprawiedliwą rozwagę szanownej publiczności. Da on się poczęści usprawiedliwić ale po części wina jest i w nas samych. Ja sam starać się będę poprzeć moje zdanie krótkim rysem literatury tutejszej i uwagami nad dziełami i autorami, w nowszych czasach. Com powiedział tutaj niech posłuży za wstęp ogólny. Pisać będę bez gniewu lub zawiści tak osobistych jak i koteryjnych. Pragnąłbym wskazać prawdziwe zdolności i zachęcić wszystkich do wytrwałej pracy w dalszym zawodzie; a odkrywając błędy, poprawę mieć na względzie, atoli bez gniewu i niechęci!

* **Z pod Lwowa.** Biedni my ziemianie! Ktokolwiek odezwie się ze wsi, pisze natychmiast w imieniu wszystkich. Gdyby to było przynajmniej co dobrego i pożytecznego mniejsza o to. Ale odzywający się w imieniu naszem najczęściej napiszą coś, co nas w nienajlepszem jeżli już nie w zupełnie złem stawia świetle. I tak korespondent Nowin z Złoczowskiego niby to uderzył gdzie indziej, na organizacyą, indemnizacyą i t. d. a w samej istocie uderzył znowu na szlachtę. W jakiemże on ją przedstawia świetle? Niecierpliwiącą się za indemnizacyą, a nieumiejącą ani swoich, ani ogólnych kraju pojąć stosunków, mniemającą że tak ogromne prace jakie ma komisya indemnizacyjna, dadzą się za jednym ruchem pióra ukończyć, poczem natychmiast otworzyć się powinna kassa pełna czystego śrebra, z której każden z szlachciców skoro się zjawi, tyle będzie nabrać sobie mógł ile mu potrzeba, a nakoniec zamierzającą za otrzymaną indemnizacyą sprawiać illuminacyą swych głów szampanem, maderą, czy wódką. Gdyby szanowny korespondent illuminował był własną głowę, ale nie szampanem i t. d. lecz większą rozwagą, byłby niezawodnie inaczej wziął te rzeczy. Przyjechawszy pewnie na kilka godzin do Lwowa, nie byłby zbierał z bruku swe wiadomości, aby je nam potem ze wsi donosić, ale zastanowił się bliżej nad ogólnem położeniem kraju i rządu, a wiedząc co to za olbrzymią pracą było dla szlachcica na jednej wiosce wypracowanie operatów indemnizacyjnych, jak do tej pracy sprowadzać musiał ludzi i przepisywaniem samem wszystkich we wsi swojej piśmiennych zatrudniać przez czas dłuższy, mógł wnieść ztąd na ogrom pracy około sprawdzenia operató z 6000 wsi galicyjskich, z których każda ma swoje szczególności i wyjątki. A cóż dopiero mówić o robotach daleko większych po takiem sprawdzeniu jeszcze pozostających?.. Czyż szanowny Złoczowianin mniema, iż szlachta nie ma wyobrażenia o rzeczy, dlatego tak nierozsądnie niecierpliwi się, myśląc że pierwszy posłaniec z poczty już jej paczkę indemnizacyjnych pieniędzy przyniesie? Przymawia korespondent, iż obligacye to jeszcze nie czyste śrebro, a pragnąłby aby bez względu na stosowną porę, mogącą sprzyjać dobremu ich kursowi, były wydane... Przytoczył znajomą karykatyrę o buraku, który zamiast cukru dawano dziecku, a zapomniał iż karykatura ta dowcipna za Napoleona I. kiedy śmiano się z tego aby cukier dobry z buraków wyrabiać można, straciła w ciągu czasu swoj dowcip bo burak stał się dzisiaj cukrem istotnym. Otóż my mamy mocne zaufanie w rządzie że i nasze obligacye staną się prawdziwem śrebrem, a właśnie to oględne i rozważne postępowanie rządu, które Złoczowianina tak niecierpliwi, jest nam tego rękojmią. W chwilach tak trudnych, jak obecna, kiedy wszyscy z ufnością rząd otoczyć powinni, aby go wesprzeć w usiłowaniach zacnych, w chwilach, kiedy istotnie wszyscy to czynią, a nawet ucichły zupełnie dawniejsze opozycyjne głosy, jakby nam to z twoich Nowin redaktorze łatwo wydemonstrować przyszło, głos podobny jak Złoczowianina, jest łagodnie mówiąc nierozważny, bo o nieszczere i nieczyste chęci pomawiać go niechcemy. —

* **Teraźniejsza księżna rejentka Parmy** jest córką księżny Berry a siostrą hrabiego Chambord. Księżna ta doznała już wielu nieszczęść familijnych. Dziad jej zginął na rusztowaniu, dwie jej ciotki temuż samemu uległy losowi; ojciec jej, książę Berry padł z ręki Louvela, a teraz zamordowano jej męża.

* **W Anglii poczynają sadzić zboże** a pierwsze próby wypadły bardzo pomyślnie. Jak tylko roślina zaczyna się rozrastać, to jest w sierpniu, wyjmują ją z ziemi, rozdzielają na kilka części i zasadzają znowu każdą część z osobna, a gdy znowu rozłogi puści, wyjmują ją na powrot i znowu rozdzieliwszy zasadzają na zimę. Tak z jednego ziarna uzyskano 67 roślin, na wiosnę podzielono je na 500 części, które wydały 21.000 kłosów, a więcej jak pół miliona ziarn.

* **Rycina do przeszłego numeru dołączona**, wyobraża 1) Ubiór od wyjścia. Kapelusz zielony, jedwabny, ubrany czarnemi aksamitkami, koronką czarną i piórami zielonemi i czarnemi. Brzeg kani zrobiony jest z bufki zielonej jedwabnej, obszyty koronką czarną z obu stron, pośrodku kani zaś aksamitkami czarnemi przyozdobiony. Suknia i peleryna czarna, jedwabna, i taśmą zieloną morową i wstążką zieloną z czarnem przyozdobiona. Peleryna pod szyję zachodząca, spięta z przodu na sześć guzików. Szerokość tej peleryny formują fałdy wcinane, które zakrywa wstążka na kształt szarfy, u góry tejże peleryny przyszyta z tyłu w formie berty, na ramionach zaokrąglona a z przodu spadająca we dwa długie końce i na piersiach na krzyż złożona. Dokoła jest obszyta cała peleryna taśmą zieloną morową i wstążeczką zieloną z czarnem. Suknia o dwu spodnicach. Każda obszyta tak samo jak i peleryna. 2) Ubiór domowy. Włosy w gładkie pukle z warkoczem nakształt korony. Po obu stronach głowy fontazie niebieskie z końcami spadającemi. Suknia jedwabna z baskiną, rękawy *pagode* i baskina wpadająca do stanu, z przodu całkiem otwarta, w pasie spięta maleńką podkładką, u dołu baskina szeroka. Dokoła obszyta niebieską wstążką karbowaną. Rękawy *pagode* bardzo szerokie w górze, przypadające do ręki, gdyż wcinają się trzy duże fałdy, gładko zszywają i niebieską wstążeczką jak na rycinie obszywają. Półkoszulek muszlinowy, koronką, nakształt żabotów obszyty. Rękawki szerokie muszlinowe i koronką koło ręki obszyte. Spodnica zarzucona bukiecikami z *niezapominajek*.

* Panie redaktorze! — Wyczytawszy w 41. Nrze „Nowin" (w korespondencyi z Krakowa) artykulik wymieniający moje nazwisko w połączeniu z zupełnie fałszywemi szczegółami, oświadczam, że w całej tej relacyi nie ma słowa prawdy, aż do mniemanego wyrażenia się mego, że „Nowiny są Świstkiem," o czem, wyznaję, niewiedziałem, aż do chwili, kiedy w zacytowanym artykule, same usprawiedliwiły to zdanie. Lucian Siemieński.

(Szanownym przedsiebiorcom i redaktorom „Czasu" widocznie chodzi o to, aby zbić mniemanie, iż artykuł „feuilleton Czasu" — umieszczony w Nowinach, wpłynął na ożywienie feuilletonu tak poważnego jak Czas pisma. Czy tak jest w samej rzeczy lub nie mniejsza o to. Faktem jest jednak, iż od owej chwili nowe życie wpłynęło w redakcyą feuilletonu. Tego przecie nie zaprzeczą! Żółci pana Siemieńskiego się nie dziwimy; śród słodkiego odpoczynku na laurauch nagle i niemile przebudzony, widać jeszcze zimnej krwi odzyskać nie może.) (R.)

Znaczenie poprzednich szarad: **1. Koniecpolski. 2. Myśliwy. 3. Nieborak.**

Szarady przez **F. M.**

1. Pierwsze z drugiem gdy piękne na wskróś mnie przeszyje,
Drugie z trzecim gdy piękne chętnie pocałuję.
A jeżli oboje piękne,
To przed niemi wraz uklęknę,
Gdy zaś piękne wszystkie razem,
Zajmie wszystkich swym obrazem.

2. Dwie pierwsze Polsce dużo klęsk zadały,
Druga zaś z trzecią owoc bardzo mały,
Wszystko choć pięknie pola ukwieci,
Lecz konia szpeci.

3. Choć pierwsze jak obręcz nie toczy się przecie,
Choć drugie nic niema, żyje jednak w świecie,
Wszystko połącza narody i kraje,
Jednym oświatę, drugim złoto daje.

4. Moim pierwszym drugie samodzielnie włada,
Bez pierwszego drugie w znaczeniu upada,
Lecz bez wszystkiego, znaczenia nie mają,
Pierwsze i drugie bezwładne się stają.

5. Miasto tak, miasto wspak,
Jedno w węgierskiej krainie,
A drugie na Ukrainie.

6. Litera w literze,
Pożyteczne źwierzę.

Przyjechali dnia **14. 15. 16 i 17.** kwietnia do Lwowa:

PP. Bienkowski Feliks, ze Stanisławowa. Hr. Drohojowscy Józef i Kazimierz, z Balic. Hackman Eugeniusz, z Czerniowic. Jędrzejowicz Kazimierz z Czapli. Lewicki Józef z Bonowa. Niezabitowski Włodzimierz, z Koropuszna. Pietruski Konstanty, z Podhorodec. Podwiński Leon, ze Stryja. Hr. Stadnicki Leon, z Nadyb. Żebrowski Tadeusz, z Żurawna.

PP. Babecki Kajetan, ze Stanisławowa. Hr. Baworowski Wiktor, z Myszkowiec. Ciepielowski Dionizy ze Sambora. Janiszewski Juliusz, z Wołcniowa. Hr. Karnicki Kajetan, z Bełzca. Łączyński Tomasz, z Laazek dolnych. Hr. Łoś Karol, z Rajskiego. Ortyński Józef, z Czerniowic. Romaszkan Zygmunt z Uherska. Hr. Siemieński Wilhelm z Krakowa. Skolimowski Tadeusz, z Humienic. Hr. Starzeński Józef, z Mogielnicy. ks. Wittgenstein Grzegórz, z Krakowa. Wojczyński Alfons, z Tuligłów. Zagórski Karol, z Kołodziejowa.

PP. Glikselli Juliusz, z Glinian. Janiszewski Ignacy ze Żurawna. Radziwiłł Wilhelm książę, z Rossyi. Terlecki Sylwester ze Żółkwi.

PP. Hofman Jan, z Kołomei. Grochowalski Karol, z Tuczny.

Wyjechali dnia **14. 15. 16. i 17.** ze Lwowa.

PP. Boczkowski Władysław, do Mościsk. Hofmann Kornel, do Brzeżan Kriegshaber Eugeniusz do Krakowa. Lewicki Józef, do Kamionki. Petrowicz Krzysztof, do Krakowa. Skarzyński Michał do Złoczowa. Szumlański Kajetan, do Zaleszczyk. Tretter Mieczysław, do Łonia.

PP. Łączyński Henryk, do Liska. Lucki Józef, do Sarn. Ressig Ignacy, do Stryja. Wiśniewski Ludwik, do Puiatycz.

PP. Höpflingen Karol, do Wiednia. Kratter Henryk, do Złoczowa. Laskowski Felicyan, do Krakowa.

P. JEx. Vogel feldmp. do Jarosławia.

Wczoraj i poza wczoraj giełdy w Wiedniu niebyło.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**